LEGENDA

9. **Dworek Pod Jeleniem → ul. Brodzińskiego 2**
To tutaj, w wówczas podkrakowskim Podgórzu 3 maja 1891 roku przyszedł na świat Tadeusz Peiper, nazywany papieżem krakowskiej awangardy.

6

Marta Eloy Cichocka

Cztery kroki po Krakowie

Krakau, Cracow, Cracovia, Cracovie... Moje miasto ma swoją nazwę w każdym z języków, które znam. Lubię języki obce i uczę się ich tak szybko, jak obcych kultur. Nie cierpię się pakować, ale kocham podróże. Zwiedziłam siedemdziesiąt dwa miasta, w kilku z nich miałam już własny kąt, swoje życie i plany... Ostatecznie jednak rezygnowałam z nich, pakowałam kieckі i książki, i wracałam do rodzinnego miasta z poczuciem, że tu jest mój dom. Mieszkałam kiedyś w samym sercu Paryża, czułam się paryżanką pełną gębą, lecz w sercu nigdy nie przestałam czuć się krakuską. Wyjechałam z Francji z poczuciem, że nigdy nie zdołam skonsumować całej oferowanej tam kultury — i że nigdy nie zdołam się włączyć w nurt jej tworzenia, co było przecież moją najgłębszą potrzebą. Tymczasem paradoks Krakowa polega na tym — przynajmniej w moich oczach — że z jednej strony daje przestrzeń i wolność twórczą, a z drugiej gwarantuje niebywałe poczucie bezpieczeństwa, stabilności i uczestniczenia w wielowiekowej tradycji tworzenia kultury. Znam metropolie dużo bardziej dynamiczne i na każdym kroku zapierające dech, jak Londyn, Meksyk czy Nowy Jork, ale skala Krakowa wydaje mi się skrojona na ludzką miarę. Nie chciałabym na stałe mieszkać w mieście, którego nie dałoby się przemierzyć spacerkiem wzdłuż i wszerz.

A wędrówki po Krakowie, jeśli oczywiście smok łaskaw, a smog pozwoli, są dla mnie źródłem radości, inspiracji i zabawnych niekiedy wspomnień.

KROK PRZED SIEBIE: PLAC NA STAWACH

Plac Na Stawach leży 350 metrów od miejsca, w którym mieszkam. Fakt ten zachwyca mnie niezmiennie od siedmiu lat, odkąd przeprowadziłam się na Salwator. Plac o poetyckiej nazwie kiedyś nie był placem: zakon norbertanek miał tu prozaiczne stawy rybne, które z czasem zasypano, a na ich miejscu pojawiła się spora przestrzeń, gdzie jak grzyby po deszczu wyrosły stragany kupieckie. Na rogu placu i ulicy Stachowicza jeszcze przed wojną funkcjonował popularny Bar Na Stawach: ten sam, który w latach 70. trafił do wiersza i tomiku Jerzego Harasymowicza, co to ulicy Krupniczej miał dość i wolał podmiejski urok Zwierzyńca, a potem do nostalgicznej piosenki śpiewanej przez Wolną Grupę Bukowina i Wojtka Bellona, który już gdzie indziej szukał poezji. Bar na przedmieściach przetrwał zmiany ustrojowe, klasę robotniczą i fasolkę z bufetu. Padł dopiero w 1991 roku, gdy ostatniemu właścicielowi cofnięto koncesję na alkohol. Teraz, gdy linia przedmieść Krakowa przesunęła się daleko na zachód i na południe, plac Na Stawach cichnie wieczorami i pustoszeje, za to za dnia tętni życiem za sprawą targu i otaczających go cukierni, kawiarni i hipsterskich barów.

Na targu panuje przyjazna atmosfera, wszyscy sprzedawcy są ze sobą po imieniu, a stałych klientów witają z uśmiechem. Jajka najlepiej kupować u pana Grzesia, który ma stragan na samym środku placu i niebieskie oczy, a w zanadrzu zaskakujące historie z Arabii Saudyjskiej, gdzie pracował przez lata. Pan Grzesiu ożywia się w upały, bo był w Arabii szczęśliwy, a do Polski wrócił ze względu na żonę, która upałów nie lubi. Obok można kupić kruchą sałatę i najlepszy szpinak z ogrodu teściowej, ciut dalej — tylko we wtorki i soboty — miody z wędrownej pasieki z tradycją od 1929 roku. W środkowej linii straganów od kilku lat rządzą słynni już brodaci sprzedawcy oliwek, humusów, fety, suszonych pomidorów i dipów tak wybornych, że palce lizać. Ich asortyment jest doprawdy wirtuozerski, tęskniłam za nim podczas stypendium literackiego w Hiszpanii, gdzie okazało się, że hiszpańskie oliwki nie umywają się do tych z placu Na Stawach.

Krupnicza 22 to adres, który pojawia się we wspomnieniach wielu twórców literatury powojennej. W latach 1945—1983 mieścił się tu Dom Literatów należący do Związku Literatów Polskich, zwany przez Gałczyńskiego „Domem 40 Wieszczów"— miejsce niezwykłe w skali całej Polski. Powojenny Kraków i Dom Literatów na Krupniczej stały się schronieniem dla pisarzy z całego zniszczonego kraju i miejscem, w którym mimo trudnych warunków związanych z cenzurą rozkwitło na nowo życie literackie. Mieszkali tu wraz z rodzinami m.in.: Konstanty Ildefons Gałczyński, Stefan Kisielewski, Sławomir Mrożek, Jerzy Andrzejewski, Stanisław Dygat, Stefan Otwinowski, Leon Kruczkowski, Kazimierz Brandys, Jerzy Broszkiewicz, Adam Polewka, Bronisław Maj i Wisława Szymborska. Historii tego miejsca poświęcona została książka Anny Grochowskiej *Wszystkie drogi prowadzą na Krupniczą* (Księgarnia Akademicka, 2017).●

L

Mieszkanie w pobliżu placu targowego ze świeżymi owocami i jarzynami stało się już częścią mojej prywatnej mitologii. Zaczęło się od studiów w Normandii, w mieście Caen, położonym kilkanaście kilometrów od plaż, na których lądowali alianci. Pazur wojny rozorał miasto, pozbawiając je zamku i części średniowiecznych uliczek, zastąpionych przez szerokie bulwary. Co dwa, trzy dni na jednym z takich bulwarów nieopodal mojego ówczesnego miejsca zamieszkania rozstawiano stragany i odbywał się targ, na którym można było zrozumieć specyfikę kuchni francuskiej od... kuchni, a raczej od strony kucharek robiących tam zakupy. Dziesiątki lokalnych producentów i sprzedawców owoców i warzyw, ryb i owoców morza, oliwy i oliwek, serów o mniej lub bardziej stężonych zapachach, wina i octu, cydru i calvadosu, specjalności regionu — byłam w raju.

Później, mieszkając w Paryżu, w niedziele pielgrzymowałam na plac Bastylii, gdzie targ był pięciokrotnie większy, a na straganach oprócz zieleniny, serów i ryb można było kupić libańskie przysmaki i marokańskie słodkości, a pewien sympatyczny Portugalczyk serwował świeżo smażone na głębokim oleju *churros*. Na kilka tygodni zaprzyjaźniłam się z producentem oliw o najbardziej wyszukanych smakach, który odkrył we mnie talenty handlowe i przez kilka niedziel z rzędu zatrudniał na swoim straganie jako pomoc dorywczą. Wstawanie o piątej rano było najgorszą częścią tego układu, ale częstowanie klientów świeżym chlebem maczanym w próbkach oliwy bardzo mi się podobało.

Po powrocie do Polski zaprzyjaźniłam się z niezwykłą krakowską poetką Joanną Salamon, a po jej śmierci wraz z przyjaciółką przez pewien czas mieszkałyśmy w jej mieszkaniu przy ulicy Chocimskiej 19, tuż obok malutkiego targu przy ulicy Lea, zwanego placem Nowowiejskim, o którym słuchy chodzą, że jest najdroższy w Krakowie. Mieszkanie to miało szczególną aurę z jeszcze innego względu: otóż Joanna Salamon była przez lata przyjaciółką Wisławy Szymborskiej, a gdy wyjechała do Holandii, zamieszkała w nim właśnie Wisełka. To pod ten adres w 1996 roku słano gratulacje z okazji otrzymanej przez nią Literackiej Nagrody Nobla. Noblistka z Chocimskiej wyprowadziła się na ulicę Piastowską, a ja, poetka świeżo po debiucie, obrałam kierunek na centrum miasta.

Przez sześć lat z grupą przyjaciół i artystów mieszkałam w nadzwyczaj klimatycznym mieszkaniu przy ulicy Kremerowskiej 16, z tarasem wielkości sporego pokoju, gdzie latem odbywały się se-

anse filmowe przy fajce wodnej, wymiennie z koncertowymi „kitchen sessions" w naszej przestronnej kuchni, wyposażonej również w pianino. Mieszkanie przy Kremerowskiej, które wraz ze mną „zagrało" w filmie Marty Deskur *Cztery siostry*, miało tylko dwie wady. Raz, że ta stuletnia, narożna i odarta z tynku kamienica z tarasami, choć doskonale sprawdzała się jako pałac letni, zimą zmieniała się w bezlitosną lodówkę o temperaturze 15 stopni. Kaflowe piece nie były w stanie ogrzać pokoi wysokich na trzy i pół metra, w szafach wilgotne swetry przymarzały do lodowatych ścian. Dwa, że na najbliższy plac targowy na Starym Kleparzu trzeba było drałować półtora kilometra. Mieszkanie na Salwatorze co prawda nie ma pianina w kuchni ani tarasu wielkości dużego pokoju, za to jest słoneczne i ciepłe — a na ukochany plac Na Stawach jest naprawdę tylko kilka kroków.

NOBLIŚCI W KRAKOWIE

Z historią miasta wiąże się ściśle historia życia polskich noblistów w dziedzinie literatury. Na łamach krakowskiej gazety „Czas" swoje popularne powieści w odcinkach drukował Henryk Sienkiewicz (*Quo vadis*), laureat literackiej Nagrody Nobla z 1905 roku. W Krakowie bywał Władysław Stanisław Reymont, laureat literackiego Nobla z 1924 roku (autor *Ziemi obiecanej* i *Chłopów* otrzymał nagrodę za całokształt twórczości). Noblista z 1980 roku, poeta, prozaik i eseista Czesław Miłosz (*Zniewolony umysł*, *Rodzinna Europa*) wybrał Kraków na swój dom w ostatnich latach życia. W Krakowie przez większą część życia mieszkała Wisława Szymborska (*Wołanie do Yeti*, *Ludzie na moście*), uhonorowana Nagrodą Nobla w 1996 roku.●

KROK DO GÓRY: WAWEL

Drugie tyle idzie się z Salwatora na Wawel, bulwarami wzdłuż Wisły. W maju zdarza się, że rzeka wylewa i dolna część alejki staje się niedostępna, ale zazwyczaj Wisła trzyma się w ryzach, a bulwary są domeną dwóch i czterech kółek: rowerów i wózków dziecięcych. Nad nimi góruje rozłożyste wzgórze, a na nim zamek królewski i katedra ze słynnym dzwonem. Mam do Wawelu ambiwalentny stosunek: z jednej strony, onieśmiela mnie i rozczula palimpsest stylów architektonicznych, kształtów i kolorów, pochodzących z różnych epok i różnych porządków, a przy tym komponujących się nad podziw harmonijnie — od gotyckich łuków, poprzez jagiellońskie kopuły, aż po austriackie mury. Wyczuwalna jest tu troska i dbałość, którą otaczano to miejsce na przestrzeni wieków, mimo zmiennych kolei losu. Można nie wierzyć w legendę o czakramie wawelskim — którego energia ocaliła wzgórze podczas II wojny światowej — ale nie ulega wątpliwości, że Kraków miał w swojej historii spore szczęście, a Wawel uniknął tragicznego losu normandzkiego zamku w mieście Caen. Być może dlatego przestrzeń ta emanuje wewnętrzną mocą miejsca, które przetrwało wieki i przetrwa kolejne. Z drugiej strony, coraz trudniej w tym niezwykłym miejscu zwyczajnie pobyć, z własnymi myślami, w ciszy i spokoju. Niezależnie od pory roku wzgórze wawelskie jak magnes przyciąga hordy turystów, a od 2010 roku jest dodatkowo areną politycznych rozgrywek. Dobrze wtedy przypomnieć sobie, że wapienne skały Wawelu mają ponad 150 milionów lat, a z ich kamiennej perspektywy jesteśmy zaledwie hałaśliwym epizodem w życiu planety.

Z Wawelem wiąże się drobny, ale malowniczy epizod w moim życiu, związany z dawnymi przyjaźniami licealnymi. W klasie francuskiej V LO przy ulicy Studenckiej dominowały, rzecz jasna, wygadane dziewczęta, ale spośród pięciu kolegów z klasy dwóch było moimi przyjaciółmi: Dominik i Tomek. Tworzyliśmy trójkąt tyleż zgrany, co targany wewnętrznymi emocjami: Tomek przez lata durzył się we mnie, ja przez lata durzyłam się w Dominiku, ale na zewnątrz trzymaliśmy fason i styl *stricte* kumpelski. I to kumplostwo zaprowadziło mnie aż na wieżę dzwonu Zygmunta. Ojciec Tomka, Wojciech Bochnak, znany konserwator zabytków, zwłaszcza zabytkowych przedmiotów metalowych, a przy tym długoletni dzwonnik „zygmuntowy", wciągnął do dzwonniczego klanu syna i jego najlepszego przyjaciela, z czego obaj byli bardzo dumni. By rozkołysać Zygmunta, którego klosz waży prawie 10 ton, a samo serce — ponad 350 kilo, potrzeba dwunastu chłopa, po sześciu na każdą z lin po obu stronach. Nigdy się nie spodziewałam, że stanę przy jednej z nich...

Pewnego dnia o poranku zadzwonił telefon, a kumple z klasy złożyli mi propozycję nie do odrzucenia: był Nowy Rok po wyjątkowo hucznym sylwestrze, Kraków obudził się na mocniejszym niż zwykle kacu, a w gronie dzwonników brakowało jednej pary trzeźwych rąk. Wzrostem dorównywałam Dominikowi, musiałam tylko założyć luźną kurtkę z kapturem i czapkę zimową wcisnąć na nos, by nie wypatrzył mnie proboszcz Bielański. Stanęłam na miejscu wyznaczonym przez Wojciecha Bochnaka. Naprzeciw mnie,

po drugiej stronie, liny były krótsze: tam dzwonnicy musieli za każdym razem podskakiwać i chwytać uciekający koniec sznura. Złapałam swoją linę i zaczęło się: raz, dwa, raz, dwa... Trzeba najpierw rozkołysać serce Zygmunta, a potem pozwolić mu uderzać przez osiem minut. Nie czułam wtedy niczego poza euforią, która mogłaby trwać wiecznie. Dopiero potem okazało się, że przez tydzień ledwo mogę poruszać ramionami! Niestety, od tamtego czasu nasze piękne licealne przyjaźnie rozluźniły się: Tomka nie widziałam całe wieki, a Dominik w końcu przyznał się, że też się we mnie durzył — i to był ostatni raz, kiedy go widziałam. Czytałam, że teraz grono dzwonników liczy trzydzieści osób i że jest w nim jedna kobieta. Szkoda, że to nie ja.

KROK W BOK: PLAC SZCZEPAŃSKI

Plac Szczepański to, poza placem Na Stawach, mój drugi ulubiony plac w Krakowie. Nie muszę mówić, że w XIX wieku funkcjonował tu największy plac targowy w mieście, utworzony w miejscu wyburzonego kościoła św. Szczepana. Potem ten piękny placyk otoczony przez secesyjne budynki Pałacu Sztuki, Kamienicy Szołayskich, Towarzystwa Rolniczego oraz Narodowego Starego Teatru im. Heleny Modrzejewskiej pełnił rolę parkingu w centrum miasta, ale to już przeszłość. Teraz plac Szczepański ze swoją zabawną fontanną pełną rozchichranych dzieciaków moczących stopy jest miłą alternatywą dla Rynku oblężonego przez turystów. O ile na samym Rynku nie mam ani jednego miejsca, które mogłabym nazwać swoim ulubionym, to wokół placu Szczepańskiego jest ich kilka: bistro Charlotte z ciepłym chlebem, bagietkami i croissantami, restauracja Trufla z widelczykiem przyznanym przez kulinarną biblię *Guide Michelin* czy wybuchowa Bomba Na Placu, gdzie spędziłam kilka sylwestrów pod rząd.

Z kolei do budynku Starego Teatru wchodziłam zarówno od strony ulicy Jagiellońskiej, jako grzeczny widz z biletem, jak i wejściem dla wtajemniczonych: od strony placu Szczepańskiego. Wszystko za sprawą reżysera Michała Zadary, który w 2006 roku wystawił w Krakowie polifoniczną i eksperymentalną *Fedrę* Jeana-Baptiste'a Racine'a z Agnieszką Mandat w roli głównej. Na próbach w Starym zdobywałam szlify dramaturgiczne i bezpośrednie doświadczenie translatorskie: jako tłumacz-dramaturg opracowywałam na bieżąco całe partie tekstu poszczególnych postaci, tłumacząc z ję-

I LO IM. BARTŁOMIEJA NOWODWORSKIEGO

W Krakowie działa jedna z najstarszych świeckich szkół średnich w Polsce: I Liceum Ogólnokształcące im. Bartłomieja Nowodworskiego, zwane potocznie Nowodworkiem. Powstało w 1588 roku na mocy uchwały Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego. To na potrzeby szkoły w XVII wieku powstało Collegium Nowodworskiego przy ul. św. Anny 12 (to dlatego przez pewien czas szkoła funkcjonowała pod nazwą Gimnazjum św. Anny), współcześnie należące do Collegium Medicum UJ. Od końca XIX wieku do dziś liceum mieści się w gmachu przy placu Na Groblach 9. Wśród absolwentów Nowodworka był sam król Jan III Sobieski, uczyli się tu również liczni pisarze: Wespazjan Kochowski, Stanisław Trembecki, Józef Konrad Korzeniowski (Joseph Conrad), Stanisław Wyspiański, Kazimierz Przerwa-Tetmajer, Tadeusz Boy-Żeleński, Sławomir Mrożek. I Liceum należy do Towarzystwa Szkół Twórczych oraz Szkół Zrzeszonych w UNESCO.●

zyka francuskiego na polski tam, gdzie Tadeusz Boy-Żeleński okazywał się mało lojalny wobec oryginału. Reżysera i moją inspiracją był między innymi Jarosław Marek Rymkiewicz ze swoją adaptacją *Życie jest snem* Calderona. W efekcie każda z postaci spektaklu Zadary przemawiała innym językiem (częściowo Boyem, częściowo trzynastozgłoskowcem bez rymów, a częściowo wierszem białym wzorowanym na Rymkiewiczu), co przynajmniej częściowo tłumaczyłoby brak możliwości jakiegokolwiek porozumienia między nimi i tragiczny finał sprawy.

Pamiętnym doświadczeniem okazała się próba z udziałem Jana Peszka w roli Tezeusza. Ten doświadczony aktor i wytrawny znawca klasycznego repertuaru najpierw wzbraniał się przed moim nowoczesnym aleksandrynem opartym na średniówce, ale odartym z rymów — by potem, po przeczytaniu na głos mocno zrytmizowanego tekstu, w ogóle nie zauważyć, że rymów w nim zabrakło. Dla mnie, jako tłumaczki, był to prawdziwy przełom. Po pierwsze dlatego, że europejski teatr barokowy rymem stoi, co dla tłumacza bywa często paraliżujące, a dla widza — trudne w odbiorze. Tymczasem okazało się, że dla aktora scenicznego rytm jest o niebo ważniejszy niż rym. Po drugie, dzisiejsza wrażliwość literacka niewiele ma przecież wspólnego z barokową, a współcześni klasycy, w tym laureaci literackiej Nagrody Nobla, rzadko posiłkują się nachalnym rymem, którego użycie kojarzy się nam raczej z rapem, a w najlepszym razie z poezją śpiewaną. Dlatego właśnie, bogatsza o doświadczenia zebrane na próbach do *Fedry*, w 2007 roku dokonałam nowego przekładu całej sztuki Racine'a, zarówno wierszem białym, jak i trzynastozgłoskowcem bez rymów, a na przełomie lat 2012 i 2013 stanęłam w szranki z Calderonem, którego *Życie to sen* w nowym przekładzie wyreżyserował inny częsty gość w Starym Teatrze, Wojtek Klemm.

Na samym rogu placu Szczepańskiego i Plant mieści się magiczna kawiarnia Bunkra Sztuki o przezroczystych ścianach, popularna od pierwszego śniadania o brzasku po ostatnią wódeczkę po północy. „Akwarium" na Plantach od lat przyciąga ławice krakusów i krakowian, literatów i biznesmenów, artystów i aktorów, studentów wszelakich krakowskich kierunków, a nawet rodziny z dziećmi, które mają tu swoją piaskownicę. Są ludzie, którzy nigdy nie postawili nogi w samym Bunkrze Sztuki, a Bunkier Café uważają za byt samoistny i niezależny, nie wiedząc nawet, że szare mury za kawiarnią należą do miejskiej galerii sztuki współczesnej, jednej z najważniejszych w Polsce. Właściciele kawiarni to Olek Wityński i Jacek Żakowski, wizjonerski duet znany z innych kultowych miejsc na mapie Krakowa, jak Alchemia na Kazimierzu czy Fabryka na Zabłociu.

Wybór miejsca przy Plantach nie był przypadkowy: już na początku XX wieku mieścił się tu słynny Drobnerion, kawiarnia Romana Drobnera z wiklinowymi koszami plażowymi wkomponowanymi w zieleń miejską. Później w tym samym miejscu był kinoteatr, po nim jadłodajnia, przez chwilę dancing, a nawet lokal ze striptizem. Pawilon wystawowy według projektu Krystyny Tołłoczko-Różyskiej, z charakterystyczną fasadą Stefana Borzęckiego i Antoniego Hajdeckiego, powstał w 1965 roku i przez trzy dekady był jedynym przykładem architektury nowoczesnej w obrębie Starego Miasta. Teraz losy kultowej kafejki ważą się wraz z planami przebudowy i rozbudowy Bunkra Sztuki: zwycięski projekt architektoniczny zbulwersował bywalców kawiarni, bo zakłada przeniesienie jej do podziemi. A czy ktoś będzie zaglądał do „akwarium" na Plantach, jeśli zniknie ono pod ziemią?

KROK W TYŁ: ŚLADAMI LOKATORA

Ostatnie miejsce na mojej prywatnej mapie Krakowa migrowało już dwukrotnie, zawsze jednak w obrębie jednej dzielnicy, krakowskiego Kazimierza. Mogłabym snuć opowieści o innym miejscu, równie ulubionym i intensywnie migrującym, jak Piękny Pies, który z ulicy św. Jana przeskoczył na sąsiednią Sławkowską, a potem zmienił dzielnicę i znalazł się przy ulicy Bożego Ciała — ale opowieści z Pięknego Psa starczyłoby na osobną książkę. Poza tym, nie wszystkie nadają się do opowiadania przy porannej kawie. Faktem jest, że w pewnym okresie wszystkie nasze wieczory z reguły kończyły się w Psie, gdzie wybuchały zarówno gorące romanse, jak i dzikie awantury. Z perspektywy czasu, na jedne i drugie warto spuścić zasłonę milczenia.

KRAKOWSKIE WYDAWNICTWA

W Krakowie mają swoje siedziby najbardziej prestiżowe i najważniejsze krajowe wydawnictwa, takie jak Wydawnictwo Literackie czy Wydawnictwo Znak. Ale nie brakuje tu także mniejszych, wyspecjalizowanych inicjatyw wydawniczych, takich jak Wydawnictwo a5 (poezja), Korporacja Ha!art (poezja, proza i literatura eksperymentalna), Karakter (literatura piękna i faktu, eseistyka, książki poświęcone projektowaniu, architekturze i sztuce), Austeria (literatura żydowska), Lokator (polska i zagraniczna proza artystyczna), EMG i (poezja, literatura kryminalna na czele z Polską Kolekcją Kryminalną oraz dzieła krytycznoliterackie) SQN. W Krakowie działają także specjalistyczne wydawnictwa akademickie, m.in. Universitas, Księgarnia Akademicka, Wydawnictwo UJ. Tutaj mieści się też wydawnictwo WAM — największa oficyna katolicka w Polsce. Krakowskie wydawnictwa wydają ponad 3 tysiące książkowych tytułów rocznie, drukowanych w łącznym nakładzie ok. 6 milionów egzemplarzy.●

N

Dlatego przenieśmy się do Lokatora: nazwę zawdzięcza filmowi Romana Polańskiego, a charyzmę — trzem muszkieterom, aktywnym już drugą dekadę na literackiej i artystycznej mapie Krakowa. To PIO, JURO i JANKO, czyli właściciel, grafik Piotr Kaliński i jego dwaj serdeczni przyjaciele, starzy bywalcy Lokatora i bohaterowie wiszących w nim grafik: literat i literaturoznawca Jerzy Franczak oraz krytyk, tłumacz i redaktor Grzegorz Jankowicz. Za ich sprawą pierwszy Lokator już u zarania dziejów był popularny wśród młodej krakowskiej bohemy, zwłaszcza literatów z roczników 70. i 80. W tej pierwszej, wąskiej knajpie u wylotu ulicy Meiselsa nietrudno było spotkać Michała Witkowskiego, Wojciecha Kuczoka, Sławomira Shuty, Piotra Mareckiego i całe grono skupione wokół Ha!artu. Osobnym atrybutem tego ciasnego i przytulnego przez to miejsca, w którym dyskusje o literaturze przeciągały się do świtu,

a lane piwo tryskało strumieniami, była koedukacyjna toaleta: kolejka do niej skupiała, z konieczności, wszystkich gości bez wyjątku, co pozwalało przełamać lody i zawrzeć niejedną trwałą przyjaźń.

Nietrudno się dziwić, że Lokator na Meiselsa zagrał w filmie *Marecki* w reżyserii Michała Zadary, prezentowanym jako „melancholijny, groteskowy, subiektywny portret krakowskiej bohemy XXI wieku". W tym niezapomnianym filmie mam swoje pięć minut, czyli mniej więcej 60 sekund taśmy filmowej, w roli *femme fatale* z Lokatora — a ścieżka dźwiękowa w wykonaniu grupy Wydział powstała na bazie tekstów z mojej książki *Lego dla ego*. Dziś tamtego Lokatora już nie ma, a jego dawni klienci bardzo się zmienili: jednym urodziły się dzieciaki, drudzy zdążyli się ożenić i rozwieść, inni znaleźli sławę w Warszawie. Wojciech Kuczok ostatnio odbywał spotkanie autorskie nie w Lokatorze, a w centrum handlowym Bonarka.

Tymczasem nasz Lokator z ulicy Meiselsa powędrował do Domu Norymberskiego przy ulicy Krakowskiej 26, a potem do szczęśliwej przystani przy ulicy Mostowej 1. Obecnie funkcjonuje nie tylko jako popularna księgarniokawiarnia, przyjazna dla czytelników, literatów i naszych dzieci, lecz także jako wyborne wydawnictwo Lokator, publikujące Georges'a Pereca, Fernando Pessoę oraz dobrą współczesną poezję i prozę. Wszystkie publikowane przez Lokatora książki można poczytać przy serwowanej w Lokatorze kawie: nic dziwnego, że miejsce to ma już rzeszę nowych, wiernych lokatorów, do której bez wahania warto się przyłączyć. ●

MARTA ELOY CICHOCKA (UR. 1973)
poetka i fotografka, tłumaczka Calderóna i Racine'a, Juarroza i Gelmana, badaczka literatury, iberystka i frankofilka. Jest stypendystką Fundacji im. Michela d'Ornano (1993—98), laureatką I nagrody w konkursie poetyckim im. Haliny Poświatowskiej (2004), stypendystką Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w dziedzinie literatury (2007), a także laureatką I Beca-Residencia Internacional SxS Antonio Machado (2016). Opublikowała trzy zbiory wierszy i fotografii: *Wejście ewakuacyjne* (2003), *Lego dla ego* (2005) i dwujęzyczne *Ślady opon na poduszce* (2016), a także tomik poetycki *Engramy* (2017) oraz dwie książki teoretycznoliterackie o poetyce współczesnej powieści historycznej, każdą w innym języku.